Herman Melville

Billy Budd

Opowieść wtajemniczonego

Przełożył Bronisław Zieliński

Posłowie Adam Lipszyc

Państwowy Instytut Wydawniczy

1.

Przed wynalezieniem statku parowego, czy może wtedy częściej niż dzisiaj, uwagę człowieka, który przechadzał się po nabrzeżach każdego znacznego portu morskiego, zwracała niekiedy grupa ogorzałych marynarzy z floty wojennej albo handlowej, ubranych odświętnie i przebywających za przepustką na lądzie. W pewnych przypadkach eskortowali oni albo – niczym przyboczna straż – zewsząd otaczali jakąś wybitną postać, należącą do ich grona, która postępowała naprzód wraz z nimi, jak Aldebaran pośród pomniejszych gwiazd swej konstelacji. Owym znamienitym osobnikiem był Urodziwy Marynarz z czasów mniej prozaicznych – czy to z floty wojennej, czy handlowej. Bez żadnego widomego śladu chełpliwości, raczej z niedbałą swobodą właściwą monarchom z urodzenia, zdawał się on przyjmować spontaniczne hołdy swoich kolegów.

Przypominam sobie przypadek dość niezwykły. W Liverpoolu, pół stulecia temu, ujrzałem w cieniu wielkiego, brudnego muru (zawady od dawna już usuniętej), który oddzielał Dok Książęcy od ulicy,

zwykłego marynarza tak czarnego, że musiał niewątpliwie być rodowitym Afrykaninem z nieskażonej krwi Chama – postać proporcjonalną, wzrostu znacznie wyższego niż przeciętny. Dwa końce barwnej jedwabnej chustki, założonej luźno na szyję, tańczyły mu na odsłoniętym hebanie torsu; w uszach miał duże złote pierścienie, a na kształtnej głowie zsunięty w tył szkocki beret z kraciastą opaską.

Było upalne lipcowe południe, toteż twarz jego lśniła od potu, promieniejąc barbarzyńskim weselem. Rzucał na prawo i lewo jowialne uwagi, błyskając białymi zębami, i kroczył ochoczo pośrodku gromady kolegów-marynarzy. Ta zaś składała się z takiego doboru plemion i barw skóry, że Anacharsis Cloots mógłby ją doskonale poprowadzić przed pierwsze Zgromadzenie Francuskie jako przedstawicieli Rasy Ludzkiej. Za każdym spontanicznym hołdem, składanym przez przechodniów owej czarnej ludzkiej pagodzie – hołdem, którego wyrazem było zamilknięcie i zdumione spojrzenie, a rzadziej wykrzyknik – pstrokata świta objawiała taką dumę z przedmiotu tego podziwu, jakiej niezawodnie doświadczali asyryjscy kapłani na widok swego wielkiego rzeźbionego byka, gdy wierni padali przed nim na twarz. Ale wróćmy do rzeczy.

Jeżeli niekiedy Urodziwy Marynarz z owych czasów obnosił się po lądzie niczym jakiś morski Murat, to jednak nie miał w sobie nic z dandysowatego Billy'ego Junaka – zabawnego osobnika, dzisiaj już prawie zapomnianego, ale niekiedy spotykanego

w postaci jeszcze uciesznieszej od pierwowzoru, u steru statków na burzliwym kanale Erie lub, co prawdopodobniejsze, perorującego w nadbrzeżnych knajpach. Niezmiennie biegły w swym niebezpiecznym rzemiośle, był on ponadto mniej albo więcej znamienitym pięściarzem czy zapaśnikiem. Łączył siłę z urodą. Powtarzano sobie opowieści o jego wyczynach. Na lądzie był szermierzem, na wodzie rzecznikiem innych, zawsze pierwszym do wszystkiego. Gdy trzeba było zrefować marsle przy silnym wietrze – już siedział okrakiem na noku nawietrznej rei, ze stopą w olinowaniu jak w strzemieniu, ciągnąc oburącz za oko liny niczym za uzdę, w postawie wielce przypominającej młodego Aleksandra kiełznającego ognistego Bucefała. Przepyszna postać, wyrzucona wysoko w burzliwe niebo jakby rogami Taurusa, wesoło zagadująca do mozolących się towarzyszy.

Moralna jego natura rzadko przeczyła powierzchowności. W istocie, niedopełniona nią uroda i siła, zawsze pociągająca w doskonałym okazie męskości, nie mogłaby jednak wywoływać tego rodzaju hołdów, jakie w niektórych przypadkach odbierał Urodziwy Marynarz od swoich mniej szczodrze obdarzonych towarzyszy.

Takim to wzorem doskonałości, przynajmniej zewnętrznie, a poniekąd też i w swej naturze, aczkolwiek z pewnymi istotnymi odchyleniami, które zostaną ujawnione w toku niniejszej opowieści, był modrooki Billy Budd – albo Dziecina, jak go w końcu poufale nazywano z uwagi na okoliczności, które później

przytoczymy – dwudziestojednoletni fortopman* we flocie pod koniec ostatniej dekady wieku osiemnastego. Do służby królewskiej dostał się na krótko przed okresem, w którym rozgrywa się niniejsza opowieść, zabrany na Cieśninach z pokładu wracającego do kraju statku handlowego i przymusowo wcielony do załogi wypływającego w morze siedemdziesięcioczterodziałowego okrętu Jego Królewskiej Mości „Bellipotent", który to okręt, co w owych gorączkowych czasach nie było zgoła niezwykłe, musiał wyjść z portu bez należytego kompletu załogi. Oficer werbunkowy, porucznik Ratcliffe, ledwie ujrzawszy Billy'ego na schodni, skoczył prosto do niego, jeszcze zanim formalnie zebrano do przeglądu na pokładzie rufowym załogę statku.

I tylko Billy'ego wybrał. Bo czy to dlatego, że inni, kiedy ich przed nim ustawiono, wypadli niekorzystnie po Billym, czy też że miał niejakie skrupuły z uwagi na fakt, że owemu statkowi handlowemu nieco brakowało ludzi – jakkolwiek tam było, oficer zadowolił się swoim pierwszym, odruchowym wyborem. Ku zdziwieniu załogi, choć i ku dużej satysfakcji porucznika, Billy nie zgłaszał sprzeciwu. Ale też wszelki sprzeciw byłby równie daremny, jak protest szczygła wsadzonego do klatki.

Widząc tę zgodę bez skargi, można powiedzieć nieledwie ochoczą, koledzy z załogi skierowali na marynarza zdumione spojrzenia, pełne milczącego wyrzutu. Kapitan był jednym z tych zacnych śmiertelników,

* Fortopman – marynarz pełniący służbę na szczycie przedniego masztu [przyp. red.].

spotykanych w każdym zawodzie – nawet najskromniejszym – rodzajem człowieka, którego każdy zgodnie nazywa „przyzwoitym". I – rzecz nie tak dziwna, jak by się mogło zdawać – choć był oraczem zmąconych wód i całe życie zmagał się z niesfornym żywiołem, poczciwiec niczego bardziej nie miłował w głębi serca niż zwykłej ciszy i spokoju. Poza tym liczył lat pięćdziesiąt albo około tego, był nieco skłonny do otyłości, miał miłą twarz pozbawioną zarostu i o przyjemnej cerze – twarz raczej pełną, ludzką i rozumną w wyrazie. W pogodny dzień, przy pomyślnym wietrze, jeżeli wszystko szło dobrze, pewien melodyjny ton jego głosu zdawał się prawdziwym, niehamowanym wyrazem wewnętrznej natury. Był bardzo roztropny, bardzo sumienny, ale w niektórych przypadkach zalety owe stawały się przyczyną nadmiernego niepokoju. Podczas rejsu, dopóki jego statek znajdował się w pobliżu lądu, nie było snu dla kapitana Gravelinga. Brał sobie bardzo do serca ową poważną odpowiedzialność, niemającą aż takiej wagi dla niektórych innych kapitanów.

W czasie gdy Billy Budd był na dole w forkasztelu i zbierał swoje manatki, oficer z „Bellipotenta", człek krzepki i obcesowy, bynajmniej niezbity z tropu tym, że kapitan Graveling pominął zwyczajowe uprzejmości przy tak niemiłej dlań okazji – pominięcie to spowodowane było po prostu zatroskaniem – bez ceremonii zaprosił się do kajuty, a także na flaszkę z szafeczki na spirytualia, który to schowek jego wytrawne oko natychmiast wykryło. W istocie był on jednym

z tych wilków morskich, w których wszystkie trudy i niebezpieczeństwa marynarskiego życia podczas wielkich, przewlekłych wojen jego epoki nigdy nie przytłumiły wrodzonej chętki do uciech zmysłowych. Obowiązki swe zawsze wypełniał sumiennie, atoli obowiązek bywa niekiedy suchy, toteż był za tym, ażeby, kiedy tylko się da, zwilżać jego suchość użyźniającym wywarem mocnych płynów. Właścicielowi kajuty nie pozostało nic innego, jak tylko odegrać rolę przymusowego gospodarza z możliwie największą gracją i skwapliwością. Jako niezbędne dodatki do flaszki postawił w milczeniu przed niepohamowanym gościem kubek i dzbanek z wodą. Przeprosił jednak, iż sam nie będzie w tym uczestniczył, i posępnie patrzał, jak niestropiony oficer spokojnie rozcieńczył grog odrobiną wody, po czym wychylił go trzema haustami i odsunął pusty kubek, nie tak daleko wszakże, by nie móc go sięgnąć bez trudu, a jednocześnie rozsiadłszy się wygodnie i oblizawszy wargi z ogromną satysfakcją, spojrzał prosto na gospodarza.

Po owych poczynaniach kapitan przerwał milczenie, a w jego głosie czaił się smętny wyrzut:

– Poruczniku, zabiera mi pan najlepszego z moich ludzi, klejnot pomiędzy nimi.

– Tak, wiem – odparł tamten, natychmiast przysuwając sobie kubek, by go ponownie napełnić. – Wiem o tym. Bardzo mi przykro.

– Przepraszam, ale pan mnie nie rozumie, poruczniku. Niech pan posłucha. Nim wziąłem na pokład tego młodego człowieka, mój forkasztel był jaskinią

swarów. Czarne to były chwile na statku, powiadam panu. Trapiłem się tak, że nawet fajka nie mogła mnie pocieszyć. Ale zjawił się Billy i było to tak, jak gdyby ksiądz katolicki zaprowadził spokój w irlandzkiej spelunce. Nie żeby im prawił kazania albo mówił czy robił coś szczególnego – ale biła od niego cnota, cukrząc wszystkich skwaszonych. Przylgnęli do niego niczym szerszenie do melasy – wszyscy z wyjątkiem przywódcy całej zgrai, tego masywnego, kosmatego chłopa z ognistorudymi bakami. Być może przez zazdrość o nowego przybysza, mniemając, że taki „słodki i miły chłopczyna", jak go drwiąco nazywał wobec innych, nie może mieć ducha walczącego koguta, postanowił koniecznie wywołać jakąś paskudną awanturę. Billy zachowywał cierpliwość, zagadywał do niego miło – bo on, poruczniku, jest trochę taki jak ja, dla którego wszelkie kłótnie są nienawistne – ale nic nie pomagało. No i któregoś dnia, podczas drugiej psiej wachty, Rudy Bak w obecności innych, pod pozorem, że pokazuje Billy'emu, skąd wykrawa się polędwicę na befsztyk – był bowiem niegdyś rzeźnikiem – bezczelnie wymierzył mu kuksańca pod żebra. Billy, szybki jak błyskawica, puścił w ruch swą pięść. Przypuszczam, że wcale nie zamierzał osiągnąć aż takiego skutku, ale w każdym razie sprawił temu krzepkiemu durniowi okropne cięgi. Trwało to chyba z pół minuty. Jak mi Bóg miły, drągala zdumiała ta szybkość. I czy dasz pan wiarę, poruczniku, że Rudy Bak teraz naprawdę kocha Billy'ego? Kocha go albo jest największym hipokrytą, o jakim w życiu słyszałem. Ale też wszyscy go kochają.

Niektórzy piorą jego rzeczy, cerują mu znoszone spodnie, cieśla w wolnych chwilach robi dla niego piękną szafeczkę. Każdy by wszystko uczynił dla Billy'ego Budda i jesteśmy tu teraz jedną szczęśliwą rodziną. Otóż, poruczniku, jeżeli ten chłopak odejdzie, już wiem, co będzie na pokładzie „Praw". Teraz nieprędko będę mógł po kolacji oprzeć się o kabestan i spokojnie wypalić fajkę – nie, chyba już nieprędko. Tak, poruczniku, zabierasz mi pan klejnot prawdziwy; zabierasz mi tego, który czyni pokój.

To rzekłszy, ów zacny człowiek z prawdziwym trudem powściągnął wzbierający szloch.

– No cóż – odrzekł oficer, który z rozbawieniem i ciekawością słuchał tego wszystkiego, a teraz jeszcze poweselał od trunku. – Cóż, niech będą błogosławieni czyniący pokój, szczególnie tacy, co walczą! A właśnie takimi są te siedemdziesiąt cztery pięknotki, których paszcze widzisz pan wytknięte przez strzelnice wojennego okrętu, co na mnie czeka – tu wskazał przez okno kabiny na „Bellipotenta". – Ale odwagi! Nie bądź pan taki zgnębiony. Ba, z góry panu przyrzekam królewską aprobatę. Bądź pewien, iż Najjaśniejszy Pan z radością się dowie, że w czasach, kiedy jego suchary nie są poszukiwane przez marynarzy tak chciwie, jak by powinny, a także w czasach, kiedy niektórzy kapitanowie floty handlowej po cichu mają za złe wypożyczanie od nich do służby jednego czy drugiego człowieka, Najjaśniejszy Pan, jak powiadam, uraduje się, że przynajmniej j e d e n taki kapitan z ochotą oddaje królowi sam kwiat swej trzódki, marynarza, który

z równą wiernością nie stawia temu oporu. Ale gdzież jest to moje cudo? A! – dodał, patrząc w otwarte drzwi kajuty. – Otóż idzie i, na Jowisza, dźwiga swą skrzynkę. Apollo z kuferkiem! Człowieku – rzekł, wychodząc mu na spotkanie – nie możesz zabrać takiego dużego pudła na okręt wojenny. Tam skrzynie są głównie na kartacze. Włóż swoje manatki do worka, chłopcze. Buty i siodło dla kawalerzysty, a worek i hamak dla marynarza z okrętu wojennego.

Przełożenie rzeczy ze skrzynki do worka zostało dokonane. Następnie, zaczekawszy, aż jego wybraniec zszedł do szalupy, porucznik opuścił się za nim i odbił od „Praw człowieka". Tak bowiem brzmiała nazwa statku handlowego, aczkolwiek kapitan oraz załoga skracali ją po marynarsku na „Prawa". Jego uparty właściciel z Dundee był zagorzałym wielbicielem Thomasa Paine'a, którego książka, stanowiąca odpowiedź na potępienie rewolucji francuskiej przez Burke'a, a wtedy niedawno opublikowana, rozeszła się wszędzie. Nadając swemu statkowi miano od tytułu książki Paine'a, ów człowiek z Dundee po trosze przypominał współczesnego sobie armatora, Stephena Girarda z Filadelfii, który dał wyraz sympatiom do ojczystego kraju i jego liberalnych poglądów filozoficznych, nazywając swe statki „Wolter", „Diderot" i tak dalej.

Lecz oto teraz, kiedy szalupa przepływała pod rufą statku handlowego, a oficer i wioślarze ujrzeli – jedni ze złością, a inni z uśmiechem – wypisaną tam nazwę, w tej właśnie chwili nowo zwerbowany zerwał się z miejsca na dziobie łodzi, gdzie sternik kazał mu